

# **Informator Krajoznawczy**

Nr 6/106 (czerwiec) 2018



**Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze  
Oddział „Sudety Zachodnie” Jelenia Góra  
Komisja Krajoznawcza**

---

## **Wprowadzenie**



Oddając czerwcowy numer Informatora Krajoznawczego zamieszczam relację ze swojej wyprawy w Alpy, która niestety skończyła się tragicznie. Pokazuję jak bawiła się młodzież na pikniku zorganizowanym w ramach projektu Moja Mała Ojczyzna. Aby zachęcić do dalszych wyjazdów zamieszczam relację z mojej wyprawy na Łotwę i do Estonii. Co prawda odbyła się ona już jakiś czas temu ale dopiero teraz uporządkowałem swoje notatki i napisałem stosowną relację. Mam nadzieję, że materiały zamieszczone w niniejszym numerze IT wniosą nowe spojrzenie na podróż.

Życzę miłej lektury.

**Krzysztof Tęcza**

Spis treści:

- Str. 1 Wprowadzenie
- Str. 3 Czak kresowy 2016: Łotwa - Estonia
- Str. 20 Piknik w ramach projektu Moja Mała Ojczyzna
- Str. 23 Nieukończona wyprawa na Mont Blanc

## Czak kresowy 2016: Łotwa – Estonia

W dniach 26.06.-04.07.2016 roku uczestnicy zorganizowanego na wniosek Komisji Krajoznawczej ZG PTTK *Czaku kresowego* odwiedzili tereny dzisiejszej Łotwy i Estonii. Bezpośrednim organizatorem imprezy był Oddział PTTK „Mazowsze”.



Najbardziej męczącym okazał się pierwszy dzień. Wynikało to głównie z braku przyzwyczajenia podróżowania przez cały dzień autobusem. Później nie było tak źle. Po przejechaniu przez Litwę wjechaliśmy na teren Łotwy. Od razu spotkała nas przykra niespodzianka. Tuż po przekroczeniu granicy okazało się, że nasza droga znikła, dosłownie. Przed nami widać było tylko kurz. Okazało się, że droga ta dopiero jest w fazie budowy. Powolutku ale jednak dojechaliśmy do celu czyli miejscowości Dyneburg. Tam też wieczorem spotkaliśmy się w *Domu polskim* z przedstawicielami społeczności polskiej. Dowiedzieliśmy się jak wygląda obecnie sytuacja Polaków na Łotwie, co Polacy robią by zapewnić sobie odrobinę niezależności. Dowiedzieliśmy się także jak rodaków pozostałych tutaj po II wojnie światowej wspiera społeczeństwo polskie. Np. remont *Domu polonijnego* w Daugavpilsie był sfinansowany ze zbiórki będącej darem narodu polskiego dla rodaków i dotacji senatu Rzeczypospolitej. Podczas naszego spotkania wymieniliśmy się podarunkami a także zorganizowaliśmy krótką zabawę z tańcami i śpiewem.

Drugiego dnia naszego pobytu na Łotwie poznawaliśmy Dyneburg. Dotarliśmy do twierdzy zbudowanej na miejscu dawnego zamku krzyżackiego. Okazało się, że to

król Stefan Batory wybudował nową twierdzę oraz lokował nowe miasto Dyneburg. Ciekawostką jest fakt, że w 1920 roku, na mocy porozumienia ze stroną łotewską, miasto zostało zdobyte przez wojska polskie a następnie przekazane Łotyszom przez Józefa Piłsudskiego. Z nowszych dziejów warte jest obejrzenia umieszczonej na budynku wieży ciśnień w roku 2013 przez prezydenta Bronisława Komorowskiego tablicy z okazji 150-lecia Powstania Styczniowego. Trzeba przyznać, że atak niewielkiego bo 50-osobowego oddziału powstańców pod wodzą hrabiego Leona Broel-Platera był dla Rosjan wielkim zaskoczeniem. Nie spodziewali się oni czegoś takiego. Niestety hrabia za swoje czyny został stracony.

Twierdza okazała się tak rozległa, że trzeba było poświęcić sporo czasu by zobaczyć chociaż niewielki jej fragment. Kolejnymi zwiedzanymi obiektami były cerkiew św. Borysa i Gleba, kościół ewangelicki Marcina Lutra i katolicka świątynia p. w. Niepokalanego Poczęcia NMP.



Bardzo ciekawym obiektem okazał się kościół p.w. św. Ludwika w Krasławiu. Ponieważ miasto to związane było z rodziną Platerów, nic dziwnego, że w podziemiach kościoła znajduje się mauzoleum, w którym oczekując na zmartwychwstanie spoczywają przedstawiciele tego rodu. Miejsce to jest na co dzień zamknięte i aby się tam dostać musimy zaczekać aż zjawi się opiekunka z wielkim starym kluczem, którym otwiera drzwi. W podziemiach panuje chłód więc gdy tam weszliśmy z gorącego powietrza przeżyliśmy lekki szok. Warto jednak było zobaczyć to miejsce. Pochowanych jest tu bowiem wielu zacnych ludzi.

Przy ogrodzeniu kościoła zastosowano ciekawe rozwiązanie umożliwiające ochłodzenie organizmu. Umieszczono tu, przy kranie, zawieszony na łańcuszku metalowy kubek. Nie trzeba było szukać żadnego naczynia, wystarczyło go opłukać i już można było napić się zimnej wody.

Nie pozostało nam nic innego jak przejść na wzgórze w stronę pięknego pałacu. Niestety gdy już tam dotarliśmy rozpadał się deszcz. Ponieważ nie było się gdzie schować weszliśmy do umieszczonej na skrzyżowaniu alejek metalowej karocy. Była ona jednak zbyt mała by pomieścić wszystkich chętnych. Dlatego większość pobiegła dalej licząc na to, że jakoś dostaną się do autobusu. W tym momencie dostrzeżliśmy, że nasz autobus właśnie podjeżdża z drugiej strony wzgórza. Kierowca znający teren zrobił nam miłą niespodziankę. Zaparkował, otworzył drzwi i, szelma jeden, uśmiechał się pod nosem.

Teraz udaliśmy się do miejscowości Aglona, najważniejszego miejsca dla katolików na Łotwie. To tutaj znajduje się „łotewska Częstochowa” czyli bazylika Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. W sanktuarium znajduje się cudowny wizerunek Matki Boskiej nazywanej *Przewodniczką z Kwiatem*.

Właściwie świętość tego miejsca miała początek w roku 1698 kiedy to 15 sierpnia objawiła się Annie podczas modlitwy Matka Boska trzymająca na ręku Dzieciątka Jezus. Zbiegiem okoliczności w tym samym momencie przeor dominikanów miał inne widzenie. Zobaczył on biały kościół z dwiema wieżami. Ponieważ było to, nawet jak na tamte czasy, niespotykane, postanowiono wybudować taki właśnie kościół i umieścić w nim obraz przedstawiający widzenie Anny. Akt fundacyjny spisano w roku 1700, a na budowę nowej świątyni szlachcianka Ewa Justyna Szostowicka podarowała dominikanom 20 wsi z 90 domami i 2 folwarkami.

Pierwszy drewniany kościół jaki tu wzniesiono spłonął w roku 1766 i zaraz przystąpiono do budowy nowej barokowej świątyni, tym razem murowanej. Obok powstał klasztor, a później szkoła i seminarium duchowne. Kiedy tereny te zostały zajęte przez Rosjan zlikwidowano seminarium a klasztor przemieniono na mieszkania komunalne. Obecnie wszystko wróciło do stanu pierwotnego. Jedynym co używane było stale przez mieszkańców jak i pielgrzymów jest cudowne źródło, które mimo zamknięcia przez władze komunistyczne w latach 60-tych XX wieku znalazło sobie nowe ujście poza zastrzeżonym terenem.

Jedziemy do Ludzy – najstarszego miasta na Łotwie, wzmiankowanego po raz pierwszy w roku 1173. Znajduje się tam zamek, a właściwie to co po nim pozostało.



Są to resztki murów wzniesionych z czerwonej cegły. Resztki ale jakie imponujące. Otaczają one kilkuhektarowy plac na wzgórzu nad jeziorem. Trzeba przyznać, robią wrażenie!



Ostatnią miejscowością tego dnia była Rezekne, mała miejscowość w której funkcjonuje jedna z niewielu szkół polskich działających na Łotwie. Wieczorem spotkaliśmy się z pracującymi tam nauczycielami. Są oni bardzo dumni z tego, że uczą tutaj, i z tego, że stworzyli jedną z lepiej ocenianych placówek oświatowych. Wcześniej niestety mowa polska była zakazana i wyglądało na to, że może całkowicie zaniknąć. Teraz po 23 latach funkcjonowania szkoły nie ma już takich obaw. Oczywiście władze nie pomagały specjalnie niewygodnej dla nich placówce. Na początek trzeba było zdobyć wyposażenie. Pierwsza pomoc przyszła od Szwedów, którzy ofiarowali kilka ławek, krzeseł i tablicę. Na początku było tu tylko 22 uczniów. Teraz jest ich 526. Zmieniło się także nastawienie władz do szkoły. Co prawda nie pomagają ale i nie przeszkadzają za bardzo. Dzięki temu szkoła, jeśli chodzi o wyniki nauczania, została oceniona na drugim miejscu w rankingu wszystkich szkół. To bardzo dobry wynik.

Dzisiaj państwowe polskie Gimnazjum w Rezekne posiada wiele dobrze wyposażonych sal tematycznych. Jest tutaj sala mogąca pomieścić 900 osób. Jest także małe muzeum. Najważniejsi są jednak ludzie. Kadra nauczycielska, nie tylko posiada odpowiednie zdolności i wiedzę ale przede wszystkim wszyscy pracujący tu ludzie wkładają w swoją pracę serce. Dlatego szkoła osiąga tak dobre wyniki jeśli chodzi o nauczanie, ale także panująca tu atmosfera udziela się rodzinom dzieci tu

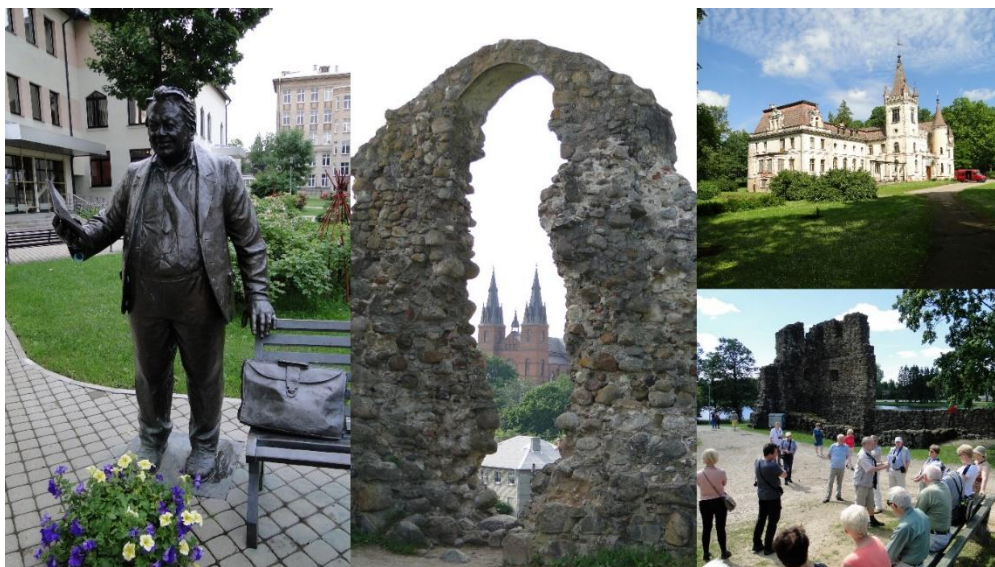
uczęszczających. My zostaliśmy przyjęci niezwykle miło. A w ramach pomocy przekazaliśmy wiele przywiezionych upominków ale także obiad zamówiliśmy w szkolnej stołówce. Dzięki temu mogliśmy sprawdzić co jedzą dzieci. Faktycznie posiłek był wyjątkowo smaczny.



Kolejnego dnia zahaczając o miejscowości Stameriany i Aluksne dotarliśmy do Tartu znanego także jako Dorpat. Miasto to, przynajmniej dla nas Polaków, jest wyjątkowe za sprawą flagi identycznej jak nasza flaga państwowa. To król Stefan Batory nadał miastu flagę w polskich barwach narodowych. Gdy tam przybyliśmy powiewała ona dumnie na ratuszu. Zresztą oczekiwał nas tam sam mer miasta.



Zaprosił całą grupę do głównej sali ratusza gdzie dowiedzieliśmy się całej historii miasta. Spotkanie było bardzo miłe. Później mogliśmy zrobić sobie pamiątkowe zdjęcia przed ratuszem, przy ciekawej fontannie. Dowiedzieliśmy się, że jest to Fontanna Studenckiego Pocałunku.



Tartu to miasto wielu pomników, np. przedstawiającego Johana Skytte czy Kristiana Jaaka Petersona. Na wzgórzu Toemagi znajdują się ruiny katedry św. Piotra i Pawła. Ich stan zachowania jak i wielkość są imponujące. Na Uniwersytecie Dorpackim powstała najstarsza polska korporacja akademicka Konwent Polonia. Ze znanych absolwentów należy wymienić Tytusa Chałubińskiego czy Władysława Raczkiewicza.

Kolejna ciekawostka, tym razem niezwykła, czekała na nas w miejscowości Põltsamaa. To tutaj możemy spotkać ducha ale takiego nietypowego bo został on zamurowany w murze zamkowym. Niestety nie zawsze udaje się go usłyszeć. To on niestety wybiera tych, którzy mogą powiedzieć, że go spotkali.

Miejscowość Paide (Biały Kamień) to przede wszystkim ruiny zamku. To właśnie o tą warownię toczyły się wielkie boje. Najpierw zdobyły go wojska Iwana Groźnego, później wojska szwedzkie. Następnie wojska polskie pod dowództwem hetmana Jana Zamoyskiego, który wcześniej wygrał wielką bitwę prowadzoną na przedpolach zamku z liczebnie znacznie większymi wojskami szwedzkimi. Kilka lat później zwycięstwo nad Szwedami odniósł Jan Karol Chodkiewicz.



Wreszcie dotarliśmy do Tallina stolicy Estonii. Przez wieki miasto to nazywało się Rewal. Duńczycy wybudowali tu jedne z najdłuższych w średniowiecznej Europie mury obronne mające 2,5 km długości. Jeśli chodzi o nowszą historię to właśnie tutaj w 1939 roku zawiązał ORP „Orzeł”. Jego załoga po internowaniu wypłynęła pod osłoną nocy i dotarła do Wielkiej Brytanii.

Pierwszym odwiedzionym miejscem był pałac prezydencki. Co prawda nie mogliśmy wejść do środka ale otoczenie pałacu było na tyle ciekawe, że warto było się tam udać. Ponoć stało się zwyczajem, że prezydent jada śniadanie ze swoimi żołnierzami. Drugim ważnym obiektem była rezydencja biskupa i nuncjusza apostołskiego w Estonii.

Tak naprawdę oglądanie starej zabudowy miasta zaczynamy od wieży obronnej nazywanej *Gruba Berta*. To tutaj znajduje się tablica pamiątkowa poświęcona ORP „Orzeł”. Bardzo ciekawym obiektem jest kościół św. Jana. Aby dokładnie obejrzeć umieszczone w nim wyposażenie nie wystarczy kilka godzin, a niestety nawet tyle czasu nie mamy. Dowiadujemy się, że Parlament Estonii jest 1-izbowy i liczy ledwie 101 posłów. Gdyby było tak u nas. Estonia jest państwem cyfrowym. Dosłownie wszystko można tutaj załatwić przez Internet. 98 % społeczeństwa ma dostęp do Internetu. Niesamowite.



Tak naprawdę mnogość świątyń w Tallinie nas przytłacza. Oglądamy cerkwie, kościoły katolickie i wszystko nam się miesza. Dla nas świątynia to świątynia. Jednak jedna robi na nas duże wrażenie. Znajduje się w niej wiele ciekawych acz

nietypowych ozdób. To tutaj caryca ufundowała nagrobek dla swojego partnera, jak byśmy to dzisiaj określili.

My kierujemy się w stronę portu a później idziemy oglądać mury obronne. To tutaj widzimy trzy budynki wystawione przez bogatego kupca, który miał trzy córki. Wystawiając dla każdej z nich dom nakazał budowniczym zrobić tylko jedno wejście, tak by ewentualny kandydat do ręki którejś z córek musiał najpierw odwiedzić najstarszą. Pomysłowe, prawda? Nas, chyba tak jak wszystkich, zszokowała nieco para leżąca pod krzakiem. Wyglądało to tak jakby kochankowie nie zważali gdzie się znajdują. Jednak po podejściu nieco bliżej okazało się, że jest to tylko prowokacja artysty. Faktycznie para okazała się kukłami ułożonymi w takiej pozycji pod wielkim krzakiem rosnącym pod murami.

Ponieważ nie tylko zabytkami człowiek żyje odwiedziliśmy *Muzeum marcepana*, w którym można nabyć wyroby z marcepana w każdej postaci. Wszak nie od dzisiaj wiadomo, że marcepan uważany jest za lek na złamane serce. A ponieważ 23 % marcepana to migdały a reszta to cukier jest on niezwykle słodki. Możemy tutaj zarówno kupić upominki dla znajomych ale także skosztować tych pyszności na miejscu. Skoro jest okazja korzystamy z niej. Niech no tylko ktoś spróbuje nas wygonić.

Dalej podążamy ciekawą uliczką przy której znajduje się najmniejszy budynek w mieście. Został on częściowo wbudowany w kościół. Przy Placu Ratuszowym znajduje się najstarsza apteka w Europie. Założona w 1422 roku nigdy nie była zamknięta. Tak się składa, że akurat w dniu dzisiejszym odbywa się targ. Możemy zatem zobaczyć ofertę skierowaną do turystów ale także nabyć wiele ciekawych rzeczy. Możemy napić się piwa, zakupić wyroby z ceramiki, wełny, Inu czy miodu. Możemy także skosztować czarnego chleba czy zjeść zupę z łosia. Najbardziej jednak przypadł nam do gustu balsam, który od wieków produkowany jest w Tallinie. Ponoć jego historia zaczęła się w momencie kiedy do miasta przybyła caryca. Kiedy zachorowała i żaden z lekarzy nie mógł jej pomóc wezwano na pomoc znanego aptekarza, który wymyślił balsam pomagający na różne dolegliwości. Oczywiście zastosował go, zarówno wewnątrz jak i do masażu ciała schorowanej carycy. I o dziwo to pomogło. Caryca wyzdrowiała. W dowód wdzięczności przyznała mu przywilej wyłączności produkcji owego balsamu. Przez wieki ludzie korzystali z tego dobrodziejstwa, a my dzisiaj możemy także zabrać do domu butelkę tego specjału. Może kiedyś przyda się.

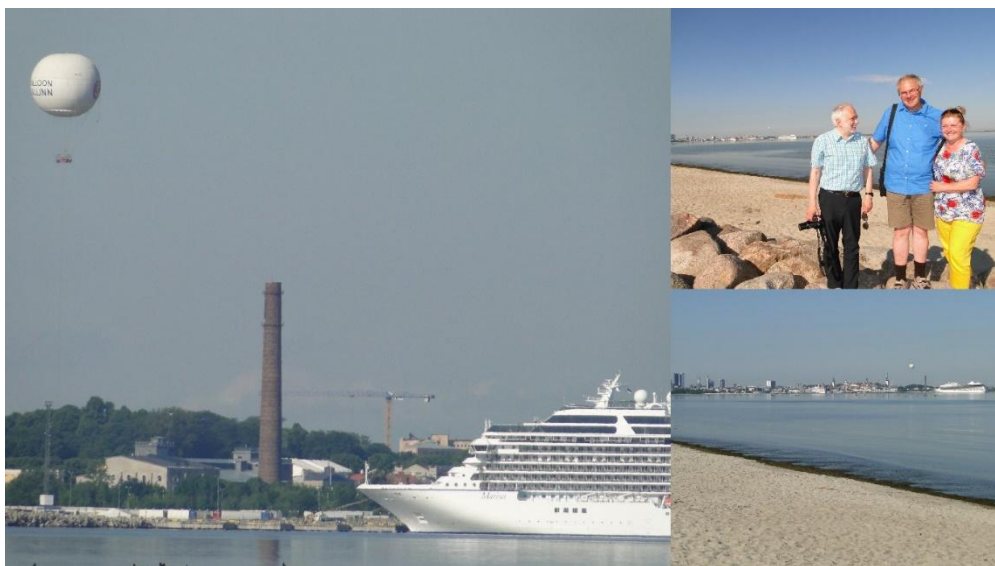


Najwyższa pora zobaczyć jak Tallin wygląda z góry. Udajemy się zatem pod wysoką na 60 metrów wieżę. Tam po 270 (liczyłem) stopniach wchodzimy na taras widokowy. Niestety schody są nieco wyższe niż normalnie i zanim dotarliśmy na górę nogi odmówiły nam posłuszeństwa. Dobrze, że co jakiś czas umieszczono ławeczki na których mogliśmy odpocząć. Za te wszystkie męczarnie czekała nas nagroda. Widoki były niesamowite. Warto było się pomęczyć. Chyba nikt tego nie żałował. Nawet ci, dla których był to wysiłek ponad życie. Ale chyba większym szokiem było dla nas dostrzeżenie zawieszanej przy jednej z bram prowadzących do posesji przy bocznej uliczce. Wisiał tam znak informujący o tym, że każdego kto spróbuje tutaj zrobić siusiu spotka coś złego. Wyraźnie pokazano co. Otóż może zostać mu odcięte narzędzie zbrodni. A więc nie sikajmy gdzie popadnie, może to być bardzo bolesne.

Aby poznać coś więcej niż tylko Tallin udaliśmy się jeszcze do miejscowości Pirita, w której zwiedziliśmy ruiny kościoła klasztornego św. Brygidy oraz Joellahtame gdzie odkryto cmentarzysko z epoki brązu. Oba obiekty wywarły na nas niezłe wrażenie. Ale nie przebiły wodospadów w Jagali. To dopiero było niesamowite. Samo dojście już nam pokazało, że idziemy do czegoś wyjątkowego, a do tego koloru spływającej wody. Gdy podeszliśmy pod sam wodospad mogliśmy zobaczyć jak wygląda świat zza wodnej kurtyny. Woda rozbijająca się o dno zamieniała się w mokrą mgłę, która ogarniając nas powodowała, że dosłownie w jednej chwili byliśmy mokrzy od stóp do głowy. Ale było to bardzo przyjemne. Największe jednak zaskoczenie było gdy na niebie pojawiła się prawdziwa tęcza. Chociaż dla mnie akurat to nic

nadzwyczajnego. Wszak spadające z góry i rozbijające się krople wody zawsze powodują powstanie tęczy. Poza tym ja także tam byłem.

Po tak ciekawym dniu nie warto było od razu kłaść się spać. Postanowiliśmy w kilka osób wybrać się nad morze. Wszak byliśmy nad Bałtykiem i mieliśmy go nie zobaczyć? Udaliśmy się na spacer pieszo chociaż akurat w tę stronę jeździły jeszcze autobusy. Pora była dosyć późna. Gdy dotarliśmy nad wodę było już dobrze po północy. Dziwne nam się wydało, że mimo tak późnej pory wciąż jest widno tak jak za dnia. Okazało się jednak, że trafiliśmy na białe noce. To akurat ta pora i to miejsce. Ciesząc się z tego faktu wędrowaliśmy po plaży wraz z innymi turystami, którzy tak jak my przybyli podziwiać piękno spokojnej tafli morza. Było magicznie. A zachodzące słońce powodowało, że cały horyzont zrobił się najpierw różowy by przejść w kolor krwisto czerwony. Po takich przeżyciach pozostało nam tylko wracać do hotelu by odpocząć przed jutrzejszymi wycieczkami.



Rano ruszyliśmy do Parnawy – letniej stolicy Estonii. To tam znajduje się Czerwona Wieża, Brama Tallińska i kościół św. Katarzyny. Są to obiekty niejako obowiązkowe dla grup chcących poznać to miasto. My także chcieliśmy je zobaczyć. Jak się jednak okazało był to dopiero wstęp do tego co mieliśmy zobaczyć tego dnia.

W miejscowości Kieś znajduje się najlepiej zachowany na Łotwie zamek rycerski będący kiedyś siedzibą wielkich mistrzów oraz polskich starostów. Zamek ten ze względu na grubość jego murów uważany był za obiekt nie do zdobycia. No chyba, że załogę wzięto by głodem. Dzisiaj pozostaje w ruinie. Warto jednak przejść te



wszystkie korytarze, kręcone schody, ukryte przejścia itp. W przyzamkowym ogrodnictwie jeszcze dzisiaj możemy zapoznać się z metodami uprawy roślin. Pokazują to specjalnie przeszkoleni opiekunowie tego miejsca.

Najpiękniejszą jednak częścią zamku, a właściwie zbudowanego obok pałacu jest znajdująca się na szczycie wieży biblioteka. Urzeka ona nie tylko swym wyglądem czy wyposażeniem ale także zbiorami. Kolejną atrakcją jest loch głodowy umieszczony w owej wieży. Możemy tutaj przekonać się co groziło nieposłusznym mieszkańcom. W Kiesi działa najstarszy browar na Łotwie i chociaż zważywszy na rok jego założenia 1878 nie robi na nas specjalnego wrażenia, to trzeba przyznać, że piwo ma znakomite.

Kolejny obiekt to pozostałości zamku Zakonu Kawalerów Mieczowych w miejscowości Turaida położonej, a jakże na terenie Szwajcarii Łotewskiej. Jest to obiekt zbudowany z czerwonej cegły wywołujący niezłe wrażenie z racji swojej wielkości. Sama wieża zamkowa jest tak wysoka, że zanim się tam wdramiemy dostaniemy zadyszki. Widok jaki rozpościera się z wieży zrekompensuje nam trudy wejścia na górę.

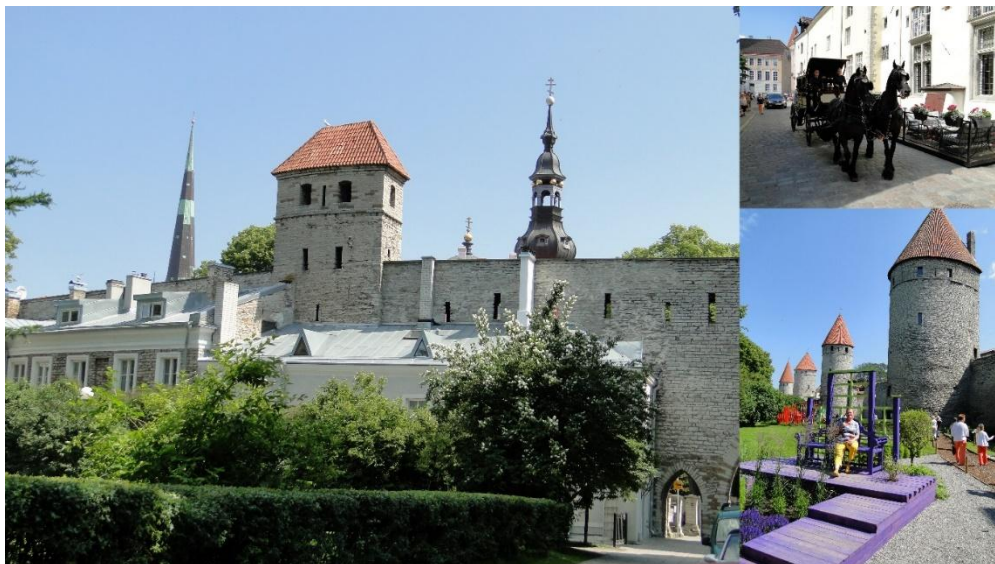


W pobliżu jest miejsce upamiętniające młodą dziewczynę zwaną Różą z Turaida. Została ona zamordowana i pochowana na terenie zamku. Jej historia jest jednak bardziej skomplikowana. Otóż po bitwie stoczony u podnóża zamku Turaida w roku 1601, urzędnik zamkowy szukając ocalałych znalazł żywe dziecko oplecione

ramionami nieżyjącej matki. Zabrał więc je do domu i przyjął jako swoje. Dał jej na imię Maija. Gdy dorosła była tak piękną kobietą, że wszyscy mówili o niej Róża z Turaidy. Jak to w życiu bywa zakochała się w ogrodniku zamkowym. Gdy przygotowania do ślubu szły pełną parą Róża otrzymała list od ukochanego Wiktora by przybyła na spotkanie w jaskini Gutmanis. Gdy tam dotarła okazało się, że zamiast ukochanego czekał na nią polski żołnierz Adam Jakubowski, który chciał ją zmusić by wyszła za niego. Róża nie chcąc tego powiedziała mu, że jest w posiadaniu specjalnego szala, który chroni od ciosów mieczem. Gdy ten nie uwierzył w jej słowa założyła szal na siebie i powiedziała by ten ciął ją by to sprawdzić. Gdy szlachcic wykonał jej polecenie ta padła martwa. Był to bowiem tylko fortel by nie dać się zhańbić. Róża wolała śmierć. Gdy wieczorem do groty przybył narzeczony znalazł zwłoki Róży. Pochował ją na wzgórzu przy zamku sadząc tam lipę. Mordercę zaś schwytano i ukarano przykładnie odbierając mu życie. Dzisiaj na grób Róży przychodzą nowożeńcy by złożyć kwiaty. Mają oni nadzieję, że wizyta w tym miejscu da im wieczną miłość.

Sama zaś jaskinia Gutmanisa jest najwyższą i najszerzą w krajach nadbałtyckich. Uważana jest ona za najstarszą atrakcję turystyczną na Łotwie. Na jej ścianach zachowało się wiele napisów i dat świadczących o bytności tutaj różnych ludzi. Z jaskinią tą zwiana jest jeszcze jedna legenda mówiąca o tym skąd biorą się wody wypływające wiosną na zewnątrz. Otóż są to łzy niewiernej żony dawnego władcy tych ziem, która zrozumiałwszy swój błąd tak rozpacziała, że jej łzy dały początek strumieniowi. Nic dziwnego, że okazało się, iż woda wypływająca z tego źródła ma właściwości lecznicze.

Po trudach dnia i spokojnym noclegu w Rydze udajemy się na zwiedzanie miasta wpisanego na listę UNESCO. Od razu rzuca nam się w oczy piękno budynków wzniesionych przy ulicy Alberta. Znajdują się tutaj secesyjne kamienice zaprojektowane przez Michaiła Eisensteina. Są to prawdziwe caczuszka. A wszystko zaczęło się od pomysłu by jakiś nieznany architekt zaprojektował coś innego, coś czego jeszcze nie było. Dzisiaj jest to jedna z najpiękniejszych ulic miasta. Choć nie zawsze ozdobą miasta muszą być zabytki architektury. Tutaj na przykład utworzono piękny park na miejscu ponad 100 metrowej szerokości fosy. Oczywiście po rozebraniu pobliskich fortyfikacji wzniesiono tam budynki. Jednak tyle zieleni sprawiło, że ich mieszkańcy czują się jakby mieszkali w parku.



Wspaniałym obiektem jest *Dom Bractwa Czarnogłowych*. Był on siedzibą bogatych kupców pochodzenia niemieckiego, którzy ze względu na swoją pozycję mieli coś do powiedzenia w sprawach ważnych dla miasta. Aby należeć do tego bractwa trzeba było być stanu wolnego. Dlatego wszyscy byli kawalerami. Dawniej budynek ten był nazywany *Dworem Artusa*. Mówi się, że członkowie tego bractwa dla zabawy przyciągnęli z lasu zieloną choinkę i ustawili na placu, wcześniej zawieszając na jej gałązkach setki jabłek. Niektórzy uważają, że to była pierwsza w historii choinka świąteczna. Na placu przed budynkiem ustawiono pomnik przedstawiający Rolanda – niezwykłego rycerza, który jest także patronem konsumentów.

Ciekawe wydarzenie miało miejsce podczas pożaru wieży kościoła św. Piotra, która aby pokazać wyższość władzy kościelnej była wybudowana tak wysoko, że widać ją było z każdej strony. Kiedy Piotr I przebywający w porcie dostrzegł pożar szybko dotarł pod kościół i żarliwymi modłami spowodował, że wieża zawaliła się do wnętrza świątyni. Gdyby runęła na okoliczne budynki byłaby to straszna tragedia. A tak wyłożono odpowiednią sumę pieniędzy i wieżę odbudowano. Zresztą wieża ta była odbudowywana kilkakrotnie. Ostatnio po II wojnie światowej. Obecnie ma ona ponad 123 metry wysokości. W dawnych latach budowniczy aby udowodnić, że swoją pracę wykonał rzetelnie musiał po zakończeniu budowy wejść na wieżę i usiąść na umieszczonym na jej szpicie kogucie. Do tego musiał wypić szampana i rzucić pusty kielich w dół. Ten rozpadając się wróżył ile lat przetrwa budowla. Na szczęście budowniczy nie był głupi i do sprawdzianu zabrał kryształowy kielich. Ten spadając z takiej wysokości rozbił się na tak dużo kawałków, że oszczędono iż świątynia przetrwa wieki.

W sąsiednim kościele św. Jana zachowały się tak wspaniałe sklepienia, że nie sposób oderwać od nich oczu. W celu ułatwienia turystom podziwiania tego caczuszka architektonicznego ustawiono na podłodze lustra, w których dzięki kąтови nachylenia dokładnie widać wszystkie szczegóły sklepienia.

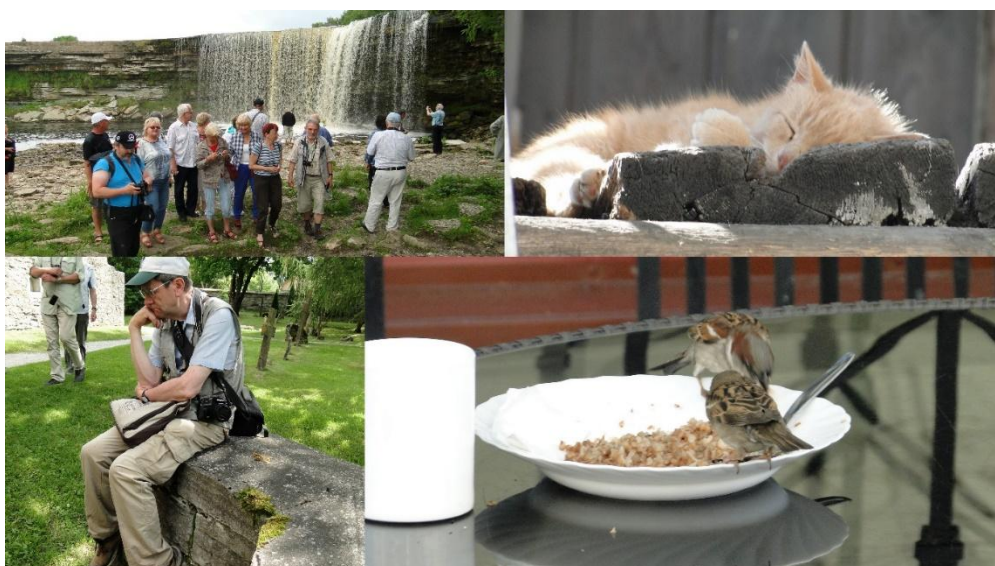
Aby odetchnąć w trakcie całodniowego zwiedzania miasta można wybrać się do działającej obok świątyni restauracji serwującej bardzo dobre jedzenie. Jej znakiem rozpoznawczym jest ustawiona na ulicy rzeźba przedstawiająca ośła, psa, kota i koguta stojącego jeden na drugim. W sąsiedniej uliczce znajduje się sklep, w którym można nabyć wspomniany już balsam, i to w różnych odmianach. Takiego wyboru nie znajdziemy nigdzie indziej.



Ciekawostką z dawnych czasów jest to jak radzono sobie z utrzymaniem fortyfikacji obronnych. Otóż aby nie nadwyręzać kasy miejskiej mury obronne dzielono na odpowiedniej długości odcinki (oczywiście tylko w teorii) i przekazywano pod opiekę konkretnej osobie – mężczyźnie. Ten musiał ponosić nakłady finansowe związane z jego utrzymaniem i naprawą. Musiał także, w razie zagrożenia, bronić owego kawałka muru. Ponieważ tereny w mieście były dosyć drogie nie każdy mógł sobie pozwolić na zakup działki budowlanej w centrum. Dlatego niektórzy kupowali grunty tuż przy murach. Były one najtańsze. Wiązało się to oczywiście z ryzykiem, że w razie jakiegokolwiek konfliktu zbrojnego postawione tu budowle ulegały zniszczeniu. Dlatego też wiele z tych budynków służyło handlowcom i rzemieślnikom. Były tu magazyny, warsztaty, a także ich mieszkania. Części użytkowe znajdowały się na parterze a mieszkalne na wyższych piętrach. Aby tanim



kosztem powiększyć część mieszkalną wysuwano górne piętra do przodu. Nieraz dosyć znacznie. A ponieważ na ulice wysypywano śmieci jej poziom wciąż się podnosił. I dlatego wcześniej dobudowane piętra przestawały być legalnymi. Władza oczywiście miała na to swoje sposoby. Ustalona była bowiem urzędowa szerokość ulicy. Aby sprawdzić czy jest ona właściwa co jakiś czas przejeżdżał tędy rycerz na koniu trzymający na wysokości swoich piersi kopię o długości równej właściwej szerokości drogi. Gdy kopia zawadzała o coś zaraz rozbierano to co przeszkadzało i było po sprawie. Nie trzeba było angażować w to żadnych sądów. Każdy rozbudowując swój dom podejmował ryzyko i nikt nie zgłaszał pretensji gdy to wykryto.



Ciekawym obiektem jest budynek wzniesiony na siedzibę *Wielkiej Gildii*. Właściwie to ciekawym jest pewna historia związana z historią stowarzyszenia kupców i jubilerów. Otóż jeden z kupców złożył podanie o przyjęcie go w poczet członków stowarzyszenia. Niestety ciągle mu odmawiano. Wiązało się to zapewne z faktem, że proszący był Łotyszem a członkami gildii byli przemysłowcy niemieccy. Dlatego ten gdy nadarzyła się okazja wykupił grunt po drugiej stronie ulicy i postawił tam swój budynek. Na jego dachu, a właściwie na szczytach wież, ustawił dwie figury czarnych kotów odwrócone tyłem do biur gildii. Koty miały uniesione ogony do góry co oznaczało „pocałuj mnie pod ogon”. Członkowie gildii czując się obrażonymi założyli sprawę sądową, która trwała kilkanaście lat. W końcu jednak wygrali proces, a koty nakazem sądu musiały odwrócić się przodem do sąsiadów.

Idąc dalej trafiliśmy na niewielki mostek tak oblepiony kłódkami, że zastanawialiśmy się czy aby wytrzyma on nasze obciążenie. Jest to typowy mostek zakochanych. Jak widać po ilości kłódek zakochanych w Rydze nie brakuje. Nieopodal w trawie stoi figura konika, która w przeciwieństwie do innych odlewów nigdy nie została skradziona. Nikt nie potrafi logicznie tego wyjaśnić.



Kolejnymi obiektami fortyfikacji miejskich są baszta prochowa i brama szwedzka. Pierwszy obiekt ma wbite wysoko w murze dwie kule armatnie. Ze względu na ich usytuowanie nie znalazł się nikt kto by je stamtąd wyciągnął. Drugi obiekt, może niezbyt ciekawy, posiada ciekawą legendę. Otóż kiedyś zakochana w pewnym

Szwedzie mieszkanka Rygi wychodziła za mury miejskie by się z nim spotykać. Któregoś razu zeszło im trochę dłużej i niewiasty nie wpuszczono do miasta. Jak wiadomo w tamtych czasach brama była zamykana o określonej godzinie i trzeba było na jej otwarciu czekać aż do rana. Gdy na drugi dzień niewiasta weszła do miasta została aresztowana i skazana przez sąd na śmierć. Przywiązano ją do ustawionego przy bramie słupa i tam dokonała swojego żywota.

W Rydze jest tak wiele zabytków, że trudno podczas jednego pobytu obejrzeć wszystkie. Po którymś wszystkim zaczyna się mylić. Nie wiemy czy to co przed chwilą oglądaliśmy widzieliśmy w tym czy innym kościele. Dlatego lepiej ograniczyć ilość zwiedzanych obiektów, a bardziej skupić się na posmakowaniu życia miasta. Dlatego warto czasami zajrzeć do jakiegoś sklepu, zjeść obiad w restauracji serwującej miejscowe dania czy przyjrzeć się występom lokalnych artystów. Na pewno ciekawszym będzie odszukanie trzech kogutów umieszczonych na dachach poszczególnych obiektów by sprawdzić skąd wzięła się nazwa *Plac Trzech Kogutów* niż oglądanie dziesiątej świątyni. Najlepiej usiąść na przedziwnym wehikule, w którym mieści się kilkanaście osób siedzących przy bufecie, popijających piwo i zwiedzających w ten sposób miasto. Jeśli przestaną pedałowac pojazd stanie.

Sporym wyzwaniem zarówno dla prowadzącego nas przewodnika jak i dla kierowcy było dotarcie do miejsca, w którym wzniesiono pomnik upamiętniający zwycięską bitwę pod Kircholmem w roku 1605. To wtedy wojska polskie i litewskie pod dowództwem hetmana Jana Karola Chodkiewicza pokonały przeważające siły szwedzkie króla Karola IX.

Ostatniego dnia dotarliśmy do miejscowości Rundale (Łotwa), w której znajduje się pałac z I połowy XVIII wieku. Jest to budowla tak piękna, że przyłgnęło do niej określenie „łotewski Wersal”. Zbudowana jako letnia rezydencja dla Ernsta Johanna von Birona faktycznie zachwyca zarówno swą wielkością, jak i pięknem architektury. Znajdujący się tu ogród również niczym nie ustępuje znanym założeniom parkowym w Europie. Samo dojście do wejścia usytuowanego po drugiej stronie olbrzymiego dziedzińca nastraja nas do tego, że za chwilę zobaczymy coś wyjątkowego. I faktycznie pierwszym zaskoczeniem po wejściu do środka był nakaz założenia ochraniaczy na buty. Dawno już się nie spotkaliśmy z taką troską o stan parkietów. Jednak to co ujrzeliśmy w poszczególnych komnatach przerosło nasze oczekiwania. Przepych z jakim urządzono poszczególne pomieszczenia jest po prostu nie do opisanie. Główna sala tronowa tonie w złocie. Wszystkie ozdoby pokryto złoceniami. Oczywiście jest tutaj wiele pomieszczeń urządzonych w określonych kolorach, wedle życzenia ich użytkowników. Jest tutaj



bardzo ciekawa biblioteka. A w wyposażeniu znajdują się dziesiątki przedmiotów zaskakujących swoją funkcjonalnością nawet dzisiaj. Nie będę tutaj opisywał poszczególnych elementów wystroju, to każdy musi zobaczyć sam. Powiem tylko, że znaleźliśmy w pałacu także akcent polski. Otóż w toaletach zamontowano ceramikę z firmy „Koło”.



Kiedy tutaj przybyliśmy okazało się, że właśnie trwa święto róż. Dlatego można było nie tylko obejrzeć róże kwitnące w ogrodzie ale także nabyć poszczególne ich odmiany na dziesiątkach stoisk oferujących piękne rośliny. Po zapewnieniu, że nabyte roślinki przeżyją dalszą podróż większość zakupiła upatrzone rośliny i mogliśmy przed wyjazdem jeszcze raz spojrzeć na dziedziniec zbudowany w kształcie słońca. Miało to przynieść powodzenie właścicielowi kompleksu pałacowo-parkowego. Nie wiem jak to było z tym właścicielem ale nam podróż powrotna upłynęła w spokoju i do domu wróciliśmy szczęśliwie.

## Piknik w ramach projektu Moja Mała Ojczyzna

W piątek 8 czerwca 2018 roku do Bukowca dotarli uczniowie jeleniogórskich szkół średnich. Na dobry początek zostali podwiezieni autobusami do Mysłakowic by stamtąd powędrować pieszo przez Mrowiec do parku w Bukowcu. Pogoda była wyśmienita więc nie było problemów z przeprowadzeniem wielu ciekawych konkursów. Przede wszystkim w ramach akcji „Jak nie czytam, jak czytam”



pokazanie, że czytać książki można wszędzie, zarówno w domu jak i na świeżym powietrzu. Nie ważne było także w jakiej pozycji. Uczniowie jak i nauczyciele pokazali, że czytać ciekawą pozycję można na siedząco, leżąc czy stojąc. Ważne było tylko to by książka, po którą sięgnęliśmy była dla nas interesująca.



Głównym organizatorem projektu Moja Mała Ojczyzna jest Zespół Szkół Ekonomiczno-Turystycznych w Jeleniej Górze oraz osobiście Katarzyna Pitera. Do zorganizowania spotkania w Bukowcu przyłączyła się Regionalna Pracownia

Krajoznawcza Karkonoszy działająca w Związku Gmin Karkonoskich. Finansowo projekt wspiera Urząd Miasta Jelenia Góra.

Młodzież najwięcej energii włożyła w naukę tańca. Dzięki staraniom prowadzącego część artystyczną można było spalić kalorie, które zostały dostarczone organizmowi w ramach przygotowanego przez uczniów Handlówki posiłku.

Podsumowaniem spotkania było wręczenie nagród uczestnikom poszczególnych konkurencji oraz podziękowania osobom bez których nie byłoby możliwe przeprowadzenie piątkowego spotkania.

Największym jednak zainteresowaniem cieszył się występ twórców utworu przyjętego za hymn projektu. Oto jego słowa napisane przez Małgorzatę Pawlak:

Choć świat wielki rozpościera się dokoła  
Choć podróże nas czekają zakręcone  
Tu horyzont wykreślony gór falbanką  
Stąd pod górę się wyjeżdża w każdą stronę.

Ref. Choć kręci nas świat szeroki  
Każdy z nas chyba to przyzna:  
Mój dom otoczony górami  
To moja mała ojczyzna.

Rozlecimy się po świecie niczym ptaki,  
Każdy chętnie w podróż życia się wybierze,  
Lecz wrócimy do ojczyzny naszej małej,  
Gdzie po płaskim w żadną stronę się nie dojdzie.

Ref. Choć kręci nas świat szeroki  
Każdy z nas chyba przyzna:  
Mój dom otoczony górami  
To moja mała ojczyzna.

## Nieukończona wyprawa na Mont Blanc

Niemal każdy kto chodzi po górach czasami myśli o wybraniu się w góry wysokie. I nie zawsze chodzi tutaj o Himalaje. Wiadomo idąc w góry wyższe niż nasze Karkonosze trzeba mieć jakieś doświadczenie. Trzeba mieć kondycję, odpowiednie wyposażenie i, a właściwie przede wszystkim, odpowiednie nastawienie. Bez tego nawet najlepiej wyposażeni nie osiągną wyznaczonego celu. Dlatego też ja, który całe życie chodzę po górach, nie tylko Sudetach, od czasu do czasu myślę o wyjściu w góry nieco wyższe. Oczywiście nie chodzi mi tutaj o góry, w których aby zdobyć szczyt trzeba stosować techniki alpinistyczne. Daleki jestem od tego. Po prostu uważam takie wejścia za zbyt duże ryzyko i raczej staram się ich nie podejmować. Co oczywiście nie znaczy, że w życiu nie próbowałem podchodzenia przy użyciu lin. Niemniej staram się omijać takie miejsca. Nie należę do ludzi, którzy jak postanowią wejść na jakąś górę czynią to bez względu na to co się dzieje. Nie, potrafię przerwać wędrówkę i odpuścić.



*Indie. Przełęcz Khardongla Pass (5600 metrów n. p. m.)*

Ostatnio wyjazdy w ciekawe regiony stały się bardziej dostępne w porównaniu z dawnymi czasami. A co najważniejsze możemy zaopatrzyć się w odpowiedniej jakości sprzęt i ubrania ułatwiające nam taką podróż. To już nie te czasy kiedy zdobycie odpowiedniego wyposażenia graniczyło niemal z cudem. To już nie te czasy kiedy mając wszystko co było potrzebne do wyruszenia w góry często nie mogliśmy udźwignąć zapakowanego plecaka. Dzisiaj sprzęt jest robiony z

wytrzymałych ale bardzo lekkich materiałów. Odzienie mieszczące się po złożeniu w garści zapewnia nam odpowiednią ciepłotę i ochronę przed deszczem i wiatrem. Zatem dzisiejszy plecak z reguły nie waży więcej niż 30 kilogramów. Pamiętam czasy kiedy idąc w Karkonosze dźwigałem plecak ważący 80 kg.

Kolejną różnicą w górach jest fakt znacznie większej ich dostępności. Dzisiaj ciężko jest minąć się na wąskiej ścieżce, tylu mamy turystów. Dawniej wędrując wiele dni po górach nie spotykaliśmy dosłownie nikogo. Góry dawały nam możliwość odsapnięcia od zgiełku i tłoku. Może właśnie dlatego potrafiłem łączyć naukę i pracę z poznawaniem gór. Zdarzały się lata kiedy w górach przebywałem po 300-350 dni w roku. Tak to nie pomyłka. Takich ludzi jak ja było więcej. A trzeba wiedzieć, że w tamtych czasach warunki pogodowe były o wiele bardziej wymagające. Gdy sypało śniegiem to widać było tylko czubki choinek. Temperatura często spadała poniżej 30 stopni. Więc gdy po kilkunastogodzinnym podejściu do którejś z chatek wreszcie byliśmy u celu to zdarzało się, że przez kilka dni nie było możliwości powrotu do domu. Wtedy nie było telefonów komórkowych. Dlatego każdy z nas musiał sobie radzić tak jak potrafił. Dlaczego o tym wspominam? Dlatego by pokazać, że aby przeżyć w górach trzeba nie tylko posiadać zdrowie i kondycję, odpowiednie wyposażenie ale przede wszystkim odpowiednie nastawienie i, co jest nie bez znaczenia, doświadczenie nabyte podczas wędrówek górskich odbywanych w różnych warunkach pogodowych, często tzw. ekstremalnych. To właśnie doświadczenie najczęściej pozwala na wyjście cało z różnych niespodziewanych zdarzeń jakie mogą nas spotkać w górach.

Za czasów minionego ustroju specjalnie nie było możliwości wyjazdów w góry inne jak te położone w krajach naszego bloku politycznego. Tym samym ich wysokości nie dochodziły nawet do 3 tysięcy metrów n. p. m. Nie oznacza to oczywiście, że podejścia te nie stwarzały trudności. Przeciwnie często były bardzo wymagające. Dlatego też uczyły nas zarówno techniki jak i pokory wobec panujących tam warunków. Góry bowiem trzeba czuć. Trzeba je szanować, bo gdy będzie się je lekceważyć może spotkać nas coś złego.

Od jakiegoś czasu możemy swobodnie podróżować więc nic dziwnego, że coraz więcej nas wybiera się w miejsca ciekawe a zarazem stwarzające o wiele większe wymagania jeśli chodzi o dotarcie do nich. Często spotykamy się z warunkami do jakich nie jesteśmy przyzwyczajeni. Choćby chorobą wysokościową. Nawet w Tatrach nigdy nie odczuwaliśmy takich dolegliwości. Teraz gdy wyruszamy w góry wysokie spotykamy się z takimi warunkami, często po raz pierwszy. I sporo osób lekceważy rady jakie są im udzielane, uważając, że ich to przecież nie dotknie.



Niestety dotknie. Sam pamiętam kiedy w zeszłym roku wyjechałem do Indii gdzie przez cały lipiec podróżowałem po górskich rejonach tego wielkiego kraju przebywając na wysokości przekraczającej 4 tysiące metrów. Kiedy to docierałem na górskie przełęcze o wysokości 5100, 5400 czy wreszcie 5600 metrów n. p. m. Kiedy po raz pierwszy mój organizm przekonał się jak to jest gdy nie można zaczerpnąć powietrza. Na takiej wysokości powietrze jest tak rozrzedzone, że często wydaje się, iż nic nie wchodzi do naszych płuc. I wtedy dopada nas panika, nie myślimy racjonalnie. A to wcale nam nie pomaga. Trzeba bowiem zachować spokój i dać odpocząć sercu, by nie waliło jak oszalałe. Ja na szczęście nie odczuwałem na takiej wysokości żadnego bólu głowy więc specjalnie nic się nie działo. Jednak gdy nieświadom tego co może się wydarzyć spróbowałem sobie podbiec kilkadziesiąt metrów od razu poczułem ucisk w klatce piersiowej i brak siły. Wtedy przekonałem się co to znaczy wysokość.

Kolejnego doświadczenia w górach wysokich doświadczyłem w lutym tego roku kiedy to zachęcony pobylem w Tybecie zdecydowałem zapisać się na wyprawę na Dach Afryki. Kilimanjaro to góra niezwykła. By dotrzeć na jej szczyt oraz bezpiecznie powrócić do bazy trzeba podczas tygodniowej wędrówki pokonać 100 km szlaku i kilkanaście kilometrów przewyższeń. Podczas gdy powietrze staje się dwukrotnie rzadsze już na wysokości 4 tysięcy metrów Kilimanjaro ma wysokość 5895 metrów. Tam naprawdę nie ma już czym oddychać. Całe szczęście, że idąc na taką górę ma się do dyspozycji nie tylko przewodników czy kucharza ale przede wszystkim tragarzy. Tak to oni noszą twoje podstawowe wyposażenie. Sam niosę tylko trzydziestolitrowy plecak z najpotrzebniejszymi rzeczami. Najważniejszym jest mieć jak największą ilość płynów. Aby zapobiec chorobie wysokościowej oraz odwodnieniu organizmu trzeba co chwilę pić. To podstawa. Jak się o tym zapomni można zapomnieć o dotarciu na szczyt. Można oczywiście to przypłacić życiem. To nie przelewki. Idąc pod górę w takich warunkach człowiek nie ma specjalnie czasu ani ochoty rozglądać się dookoła. Patrzy tylko by postawić nogę w bezpiecznym miejscu. A często jest tak, że organizm zmęczony panującymi na górze warunkami zupełnie nie słucha poleceń wydawanych przez mózg. Wiele razy miałem wrażenie, że gdy chciałem postawić nogę w zaplanowanym miejscu, ja kierowałem ją do przodu a ona szła gdzieś w drugą stronę. W takiej sytuacji bardzo pomocne okazują się kijki, którym możemy się podeprzeć.



*Uhuru Peak – Kilimanjaro 5895 metrów n. p. m.*

Najważniejsze jednak to stosowanie się do uwag i poleceń prowadzącego. To on wie którądy iść, czy jesteśmy ubrani odpowiednio do panujących warunków, to on często wręcz zmusza nas do wypicia kolejnych łyków płynów. W końcu to on decyduje kiedy mamy odpocząć a kiedy iść dalej. To on decyduje czy pozwoli nam wejść na naszą wymarzoną górę czy każe nam zawrócić. I gdy podejmie niekorzystną dla nas decyzję to musimy go usłuchać. Bo taka decyzja wydającą nam się krzywdzącą może uratować nam życie. Bo tylko ów przewodnik ze swoim doświadczeniem wynikającym z jego często setek wejść na szczyt jest w stanie ocenić naszą kondycję. On naprawdę nie robi nam na złość. On po prostu widzi czy damy radę czy mamy już dosyć. I najczęściej poddajemy się jego woli. Czasami są sytuacje odwrotne. To my mając już dosyć chcemy zawrócić, a przewodnik oceniając stan naszego zdrowia i ducha każe nam się napić ciepłej herbaty i po krótkiej rozmowie iść dalej. Bo w tym momencie tylko on widzi, że damy radę i możemy iść dalej. I często, ba bardzo często, właśnie takiemu doświadczonemu przewodnikowi my nieświadomi zagrożeń na tak nietypowej dla nas górze

zawdzięczamy, że osiągamy cel. Mało tego, często właśnie takiemu doświadczonemu przewodnikowi zawdzięczamy życie. My bowiem na tej wysokości, w tak niekorzystnych dla nas warunkach, sami nie jesteśmy już w stanie podejmować racjonalnych decyzji.

Nie powiem, wchodząc na Kilimanjaro, byłem bardzo zmęczony, niedotlenienie organizmu powodowało, że nie miałem specjalnego wpływu na to robi mój organizm. Zdarzyło się kilka razy, że zachwiałem się nad przepaścią i gdyby nie idący za mną mój „osobisty opiekun” pewnie byłaby to moja ostatnia wyprawa. Miałem jednak szczęście i nie tylko wszedłem na Dach Afryki ale bezpiecznie z niego zszedłem. Jestem wdzięczny za okazaną mi pomoc całej naszej ekipie, zarówno tragarzom, przewodnikom jak i kucharzom, którzy pokazali swój kunszt.



*Śnieżka*

Oczywiście takie zbytki jak tego typu wyprawy sporo kosztują. Ale jeśli chce się przeżyć coś nietypowego trzeba się z tym liczyć. Nie mniej nie można swoimi marzeniami obciążać innych. I dlatego wybierając się na takie ekstremalne wyprawy wybieram się tam z biurami organizującymi tego typu wypady. W Internecie takich biur jest pełno. Warto jednak sprawdzić od kiedy dane biuro organizuje tego typu usługi i co oferuje w zamian za określoną sumę pieniędzy. Nie można bowiem wyruszyć w tak ekstremalną podróż bez na przykład adekwatnego do zagrożenia ubezpieczenia gwarantującego nam stosowną pomoc. Trzeba także sprawdzić jak wiele tego typu dane biuro organizowało już wypraw i poczytać opinie o usługach świadczonych przez wybranego operatora. Chociaż co do zamieszczanych opinii

trzeba zachować pewien dystans. Ludzie mają dzisiaj tak dziwne wymagania i wyobrażenia co im się należy, że nie zawsze to co piszą należy brać na poważnie. Znajdą się tacy, którzy uważają, że jak zapłacili to powinno się ich wręcz wnieść na szczyt, a także zapewnić ciepły prysznic czy inne udogodnienia podczas wyprawy. Faktycznie często uczestnicy takich wypraw nie mają żadnego doświadczenia górskiego. Zdarza się, że nawet nie wiedzą na co tak naprawdę się porywają. Im wystarcza, że kupią wypasiony sprzęt i już. Czasami widach jeszcze metki sklepowe. Nie dociera do nich, że np. buty powinny być już sprawdzone. Ale myślę, od tego jest, a przynajmniej powinno być dane biuro. To oni powinni wstępnie weryfikować chętnych do wyprawy i jeśli zajdzie taka potrzeba wybijać im to z głowy. Skutecznie acz taktownie.

Zachęcony moim sukcesem postanowiłem wybrać się na kolejną wyprawę. Tym razem nie chciałem lecieć gdzieś na drugi koniec świata. Uznałem, że warto spróbować wejścia na uważany przez większość za najwyższy szczyt Europy Mont Blanc. Co prawda jego wysokość 4810 metrów jest o kilometr niższa aniżeli Kilimanjaro jednak jest on trudniejszy technicznie.

Tak jak poprzednio przejrzałem oferty biur oferujących podobne wyprawy i wybrałem to, które wydało mi się najbardziej doświadczone jeśli chodzi o wyjścia na ten właśnie szczyt. Zanim wyruszyłem w Alpy zwyczajowo trochę powędrowałem sobie po naszych Karkonoszach. Pod hasłem 3xŚnieżka = 1xMont Blanc zaproponowałem wycieczki na najwyższą górę Sudetów. Co prawda jej wysokość 1603 metry to nie to co Mont Blanc ale za to wejścia dają w kość. Pierwszą trasę poprowadziłem spod dolnej stacji wyciągu krzesłkowego na Kopę tak by przyzwyczaić organizm do późniejszych cięższych przejść. Dało się w zasadzie dotrzeć na szczyt bez wysiłku. Do Karpacza wróciłem przez Lucni boude i Strzechę Akademicką. Druga wycieczka była już trudniejsza. Poszliśmy przez Kocioł Łomniczki by ze Śnieżki powrócić do Karpacza przez Sowią Dolinę. Niestety trzeciej wycieczki nie zdążyłem odbyć przed wyjazdem gdyż okazało się, że zwolniło się miejsce w ekipie mającej wyruszyć w Alpy 25 czerwca 2018 r. Trzeba było kompletować potrzebny sprzęt. Ponieważ nie jest to moja pierwsza wyprawa w zasadzie większość wyposażenia mam w szafie. Wystarczyło tylko uzupełnić je o kilka nietypowych drobiazgów. Z biura otrzymałem listę wymaganych rzeczy. Najważniejsze oprócz odpowiednich ubrań były sztywne buty, pasujące do nich raki, kije, czekan, kask, ciepły śpiwór, uprząż i bazowy plecak.





*Masyw Mont Blanc. Francja*

Dla jasności podam, że po górach chodzę codziennie. Tylko w tym roku poprowadziłem kilkadziesiąt wycieczek, więc jeśli chodzi o wytrzymałość mojego organizmu myślę, że jest wystarczająca by podejmować takie wyzwanie. Co prawda od jakiegoś czasu chodzę po górach nieco wolniej niż kiedyś ale zawsze docieram do celu. Zresztą wejście na Kilimanjaro nauczyło mnie rzeczy wydawałoby się niemożliwej. Wcześniej nigdy nie przypuszczałem, że można tak wolno chodzić po górach. Drobne spokojne kroczki w warunkach ograniczonego dostępu do tlenu sprawdzają się znakomicie.

Gdy tylko spakowałem potrzebne rzeczy dotarłem w umówione miejsce i dołączyłem do pozostałej ekipy ruszającej w Alpy. Okazało się, że jest nas wraz z prowadzącymi 13 osób. Ponieważ całe życie liczba „13” była dla mnie szczęśliwa nie przeszkadzało mi to. Późno w nocy dotarliśmy do Chamonix we Francji i rozbiliśmy namioty w Les Houches. Wszystko odbywało się zgodnie z planem. Po drodze zostaliśmy zapoznani z programem i każdy w kilku zdaniach opowiedział coś o sobie, o swoich osiągnięciach jeśli chodzi o góry. Okazało się, że wszyscy mają jakieś doświadczenie górskie. No może z jednym wyjątkiem. Nie miało to mieć jednak specjalnego znaczenia gdyż jedyna kobieta w naszym zespole miała podejść z nami

tylko do schroniska Tete Rousse i tam pozostać by oczekiwać na nasz powrót ze szczytu.



*Masyw Mont Blanc*

Ranek powitał nas piękną słoneczną pogodą. Góry widać było jak na dłoni. Zapowiadał się ładny dzień. Zostaliśmy zaopatrzeni w odpowiednią ilość prowiantu. Także nasze plecaki zostały odpowiednio odchudzone. Wszystko co było zbędne podczas górskiej wspinaczki zostało wypakowane i pozostawione w bazie. Teraz w dobrych nastrojach przeszliśmy kilkaset metrów do dolnej stacji kolejki, którą wjechaliśmy na wysokość 1800 metrów n. p. m. Co prawda wagonik, do którego nas zaproszono wyglądał jak ze skansenu ale wytrzymał. Szczęśliwie dotarliśmy na górę. Wreszcie miał rozpocząć się marsz na szczyt. Choć tak naprawdę to dopiero pierwszy dzień. W sumie mieliśmy iść prawie tydzień.

Ruszyliśmy wąską ścieżką po zboczu i po jakiejś godzinie marszu dotarliśmy do stacji tramwaju górskiego. W oczekiwaniu na odjazd kolejki na trawie leżało kilkadziesiąt osób. Ponieważ sezon zaczyna się na początku lipca nie było dużego tłoku. To dobrze, bo nie ma nic gorszego jak wymijanie się grup na stromym zboczu. Po krótkim odpoczynku idziemy widoczną ścieżką wijącą się wśród coraz rzadszych krzaków zieleni. Idziemy szlakiem krajobrazowym mającym dostarczyć wielu

wrażen. Faktycznie gdy na chwilę przystajemy i obracamy się do tyłu widoki są urzekające. Widzimy jak część ludzi podąża torami kolejki. Jest to trochę dziwne gdyż tuż przy stacji widać wielkie ogłoszenie, że to nie jest trasa turystyczna i nie wolno tamtędy chodzić.



*Alpy. Francja*

Nasza ścieżka staje się coraz bardziej stroma i coraz bardziej pokręcona. Po pewnym czasie przed nami widać same serpentyny. Oczywiście wynika to z faktu, że na stosunkowo krótkim odcinku musimy pokonać prawie kilometr przewyższenia. Szybko okazuje się, że niektórym nie pasuje spokojne wspinanie się pod górę i dzielimy się na dwie grupy. Wynikło to tak jakoś naturalnie. Pierwsza grupa złożona z 9 osób praktycznie prze do przodu jak małe parowoziki. Nic nie może ich powstrzymać. To nic. Mają oni swojego prowadzącego, niech lecą. Będzie spokój. Pozostaliśmy we czwórkę. Prowadzi nas najbardziej doświadczony człowiek, który na szczycie był już kilkadziesiąt razy. Dostosowuje on tempo do nas. Ja z przyzwyczajenia po moich ostatnich wypadach idę powolutku, krok za krokiem, nie ulegając żadnym naciskom. Po prostu mam swoje tempo. Pozostałe dwie osoby to para narzeczonych, którzy trzymają się razem. Nasze tempo jest w miarę stabilne. Chociaż czasami jestem na końcu grupy, czasami w środku a czasami idę jako



pierwszy. Wkrótce dochodzimy do miejsca, w którym znajduje się ustawiony drogowaskaz z tabliczką informującą, że oto jesteśmy na wysokości 2480 metrów nad poziomem morza. Dobra nasza. Dzisiejszy dzień mamy zakończyć na około 2800, więc pozostało już nam bardzo niewiele. Jest fajnie. Jedyne co nam trochę przeszkadza to strasznie grzejące słońko. Już się posmarowaliśmy kremem z filtrem i założyliśmy okrycia głowy, nie powinno zatem nas spalić.

Po odsapnięciu podążamy dalej. Teraz dopiero zaczynają się serpentyny. Robi się coraz bardziej stromo. Spod nóg ciągle usuwają się mniejsze i większe kamienie. Pojawia się pierwszy śnieg. Nie jest to coś wielkiego. Ot takie łachy śnieżne. W zasadzie o tej porze nie powinno tutaj być już ani grama śniegu. Widocznie temperatura jest jeszcze na tyle niska, że dopiero za kilka dni cały śnieg stopnieje. Przechodzimy śnieżne odcinki jeden za drugim bez specjalnych problemów. Śnieg jest podgrzany promieniami słonecznymi na tyle, że nie ma na nim lodu a jego konsystencja pozwala dobrze wbić buta. Pewnym utrudnieniem staje się coraz większe nachylenie zbocza. Trudniej wtedy przejść odcinki ze śniegiem. Trzeba wbijać dobrze kij od strony zewnętrznej aby ciężkie, ważące po ponad 20 kg plecaki nie przeważały nas w nieodpowiednim kierunku.



*Alpy. Francja*



Wreszcie docieramy pod najbardziej eksponowaną część zbocza. Wydaje nam się, że jest ono niemal pionowe. Ścieżka staje się tak „chuda”, że jest problem by odpocząć. Trzeba stać z plecakiem na barkach gdyż tak naprawdę nie ma go gdzie położyć. Zapewne spadłby na dół. Jeśli chodzi o mnie to początkowo przeszło mi przez myśl czy nie warto by było wyciągnąć raków ale gdy spróbowałem wbić buta w śnieg uznałem, że to niewiele pomoże. Po prostu trzeba być ostrożnym i dobrze wbijać się w ślady poprzedników. Najważniejsze było aby nie przeważał nas ciężar plecaka.



*Alpy. Francja. Ostatnie podejście*

Gdy już widać było przełęcz, do której zmierzaliśmy, okazało się, że skończyła się nasza ścieżka. Do końca ściany pozostało nam kilkadziesiąt metrów przewyższenia. Jednak jak tam dotrzeć. Na szczęście prowadzący nas dobrze wiedział gdzie należy iść i uznając, że dalszy marsz przez luźny zalegający śnieg jest zbyt niebezpieczny pokazał nam drogę przez wystający filar skalny. Gdy obejrzelismy wskazaną trasę także uznaliśmy, że nie ma co się pchać w niepewny śnieg tylko spróbować wdrapać się po tej skale. Ponieważ jednak pokryta była ona wieloma drobnymi kamykami było to nie mniej niebezpieczne. Dlatego zdecydowaliśmy się zabezpieczyć pokonywany odcinek. Prowadzały nas jako najsilniejszy z nas wspiął się około 30

metrów na górę i tam założył linę asekuracyjną. Dopiero teraz mogliśmy podjąć skuteczną próbę wejścia wyżej. Faktycznie bez tej liny nie dalibyśmy rady. Jednak takie wciąganie się z ciężkim plecakiem po prawie pionowej ścianie dało nam nieźle w kość. Wszyscy to odczuliśmy. Najbardziej zmęczona była nasza niewiasta. Nic dziwnego. Gdy dotarła do końca liny wyzwoliła się z niesionego plecaka. Na szczęście był tam niewielki fragment terenu, na którym można było przysiąść. Ja stałem wyżej trzymając się znajdującego się tam łańcucha gdyż szansy by położyć gdzieś obok plecak nie było żadnej.



*Alpy. Francja. Ratownicy docierają do poszkodowanej*

Spojrzeliliśmy do góry. Do przełęczy pozostało dosłownie kilkadziesiąt metrów, oczywiście w pionie. Serpentykami będzie nieco dalej. Ale inaczej się nie da. Przed nami jeszcze jedna, ostatnia, łacha śniegu. Kilkanaście metrów, może nieco więcej. Pierwszy przeszedł prowadzący by sprawdzić czy wszystko jest w porządku. Drugi ruszyłem ja. Ślady pozostawione przez poprzedników były dosyć wyraźne, chociaż rozgrzany promieniami słonecznymi śnieg był trochę dziwny. Z jednej strony gdy wkopywałem buta w ślad siadał on dosyć wyraźnie, z drugiej strony trzeba było to czynić z rozmysłem by naruszony śniegu po prostu nie zleciał. Dlatego starałem się najpierw dobrze wbić kij trzymany od zewnętrznej strony a dopiero później

przenosić do przodu jedną nogę. W tym czasie byłem pochylony bokiem do zbocza i trzymałem się ręką za śnieg. Tak naprawdę to po prostu wdrapywałem się palcami w śnieg próbując go złapać. Kij z tej strony mógł mi tylko przeszkadzać. Mniej więcej pośrodku przejścia gdy zmieniałem nogę poczułem jak wbity kij wpadł nagle jeszcze głębiej w śnieg i niezłe mną majtnęło. Na szczęście byłem pochylony w stronę zbocza więc opanowałem to. Trochę mnie to jednak zmobilizowało do większej ostrożności. Staralem się nie patrzeć w dół. Byłem już tylko kilka kroków od skały.

Gdy pozostało mi dosłownie dwa, trzy kroki do skalnego podłoża usłyszałem nagle tuż za sobą jakieś westchnięcie czy jęk. Trudno mi to teraz określić. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem jak idąca za mną dziewczyna spada ze śladu. Od razu plecak przeważył ją i ułożył na plecach. Zaraz też zaczęła odjeżdżać ode mnie. Ja stojąc w śnieżnym śladzie, podparty z jednej strony kijkiem, mogłem tylko patrzeć na to co się działo poniżej moich nóg. Dziewczyna zsuwała się coraz niżej. Najdziwniejsze było to, że robiła to w zupełnej ciszy. Nie krzyczała, nie wołała o pomoc. Było to tak przerażające, że musiałem oderwać od niej oczy i szybko postawić trzymaną w powietrzu nogę by samemu nie polecieć w przepaść. Zrobiłem to w takim pośpiechu, że aż mną zachwiało. Na szczęście byłem już na skale. Wtedy obejrzałem się ponownie i zobaczyłem jak ona, oddalona już o kilkadziesiąt metrów ode mnie, dociera do miejsca, w którym znajduje się lekka fałda, za którą jest już tylko bezkresna przepaść. Aż mi włosy stanęły gdy to zobaczyłem. Stałem jak zahipnotyzowany. Dosłownie nie mogłem się ruszyć.

Gdy już się wydawało, że wyleci ona w powietrze zobaczyłem jak jej ciało bezwiednie skręca lekko w prawo i po wybiciu ponownie spada na śnieg leżący w skalnym leju. Znowu zaczyna się zsuwać jak na sankach. Tor jej ślizgu określa kształt leju. Sunie środkiem zalegającego śniegu. O dziwo jej szybkość wcale się nie zwiększa, wciąż jest taka sama. Mam wrażenie, że oglądam to w zwolnionym tempie. Ja stoję nie mogąc wykonać żadnego ruchu a ona wciąż oddala się ode mnie. Wciąż jest coraz dalej i dalej. I wciąż wszystko przebiega bezgłośnie. To było najbardziej przerażające w tym wszystkim. Ta absolutna cisza, jak na niemy filmie. Po chwili lej skręcił w lewo i ona znikła za skałami. I to wszystko, żadnego rumoru, żadnego krzyku, tylko ciągła cisza.

Teraz nie wiem czy ona spadła bo się poślizgnęła, spadła bo kij stracił stabilność, urwał się kawałek śniegu czy może po prostu przeważył ją plecak, a może zastała? Tego chyba nie dowiemy się już nigdy.





*Alpy. Francja. Widok na Chamonix*

Ale to nie koniec. Dopiero teraz wszystko nabiera tempa. Patrzę do tyłu a narzeczony dziewczyny, która spadła, zrzuca plecak i chce zejść w stronę przepaści by zobaczyć gdzie ona jest. Już oczami wyobraźni widzę jak on też leci w dół. Nie wiem co się dzieje, słyszę tylko jak wydieram się do niego by stał w miejscu, by nie podchodził do przepaści. W tym samym czasie podobnie krzyczy prowadzący stojący kilkanaście metrów nade mną. Nawet nie wiem kiedy wbiłem się w pobliską skałę i zrzuciłem plecak. Gdy złapałem się znajdującej się tam metalowej barierki odwróciłem się i widzę jak on wciąż zbliża się do krawędzi. Widocznie nas nie słyszy. W końcu przeciska się koło mnie prowadzący, który każąc mi zostać i nie ruszać się stąd, gna w stronę chłopaka. Przez krótki moment nie wiem co się dzieje. Na szczęście zaraz widzę, że są już razem. Prowadzący bierze telefon i dzwoni po pomoc. Nie wiem czy tak było ale wydaje mi się, że helikopter z ratownikami zjawił się przed nami dosłownie w kilka minut od zawiadomienia. To było niesamowite. Widziałem jak spuszczeni są z maszyny kolejni ratownicy. Moi współtowarzysze ruszyli w dół by dotrzeć jak najbliżej miejsca upadku. Jeszcze nie dociera do nas, że ona może już nie żyć. Przecież zsuwała się tak powoli, spokojnie. Helikopter wciąż podchodzi pod zbocze spuszczać kolejnych ratowników by po chwili odlecieć na



bezpieczną odległość. Coś się tam dzieje w dole, niestety stąd nie widzę co. Wciąż ściskam mocno barierkę, aż wbija mi się w dłoń.



*Schronisko w masywie Mont Blanc*

Ponieważ dostałem polecenie aby iść dalej i zawiadomić pozostałą grupę o zaistniałej sytuacji staram się założyć na barki plecak. Nie jest to wcale takie proste. Raz, że nie mogę otworzyć zaciśniętej dłoni, dwa, że okazuje się, iż plecak nagle stał się niezwykle ciężki. Przecież nic się nie zmieniło a ja nie bardzo mogę go podnieść. Wreszcie udaje mi się. Kieruję się w stronę wystającej zza skały stalowej drabiny. Niby to tylko kilka metrów ale jakoś długo trwa zanim tam docieram. Gdy puszczam barierkę by złapać szczebel drabiny dzieje się ze mną coś dziwnego. Nagle ręce zaczynają mi drżeć a po chwili tak się trzęsą, że nie mam szans by cokolwiek nimi zrobić. Cały robię się jakiś słaby, taki wiotki. Nie wiem co się dzieje. Staram się powstrzymać to rozdygotanie ale nie bardzo mi to wychodzi. Trwa tak kilka minut. Wreszcie zaczynam dochodzić do siebie. Dociera do mnie, że oto zostałem sam na szlaku, sam nad przepaścią. Wiem tylko, że trzeba iść do góry, że tam za przełęczą są nasi. Muszę tam dotrzeć, za wszelką cenę. Nie mam innego wyjścia.

Chwytam pierwszy szczebel drabiny znajdujący się nad moją głową. Drugą ręką puszczam się barierki bo inaczej nie sięgnę do drabiny. Wtedy postawiona noga na

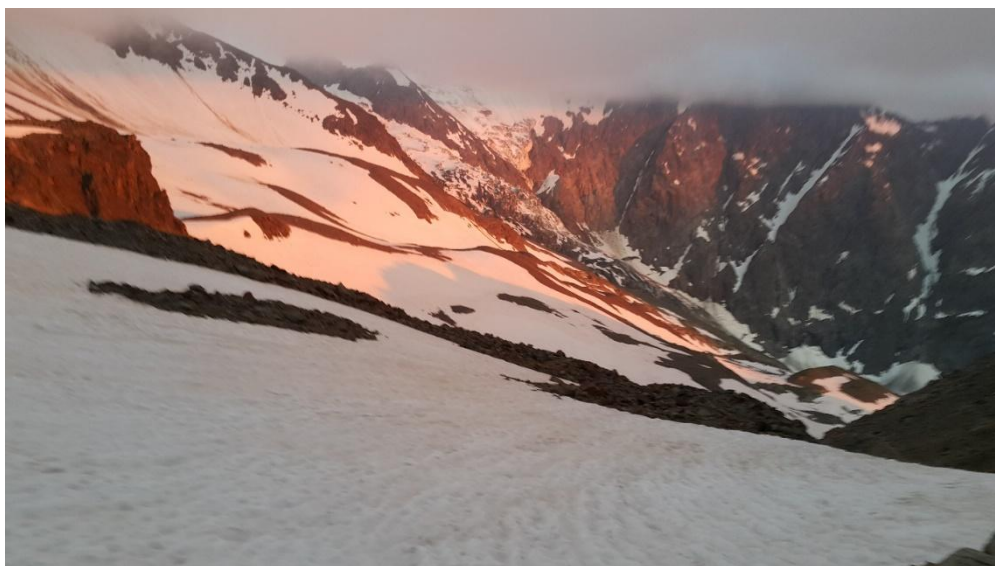
Śniegu znajdującym się pomiędzy dwoma skałami osuwa się zrzucając cały śnieg. Zawisam na ręce, którą zaciskam na szczelbu. Obraca mnie plecami do ściany. To ciągnie ciężar plecaka. Widzę tylko niebo, nic więcej. Boję się spojrzeć w dół. Tam przecież nie widać dna. Chaotycznie macham nogami próbując osiągnąć jakiegoś oparcia. Trwa to tylko chwilę ale mnie się wydaje, że to cała wieczność. W końcu udaje mi się chwycić drugą ręką kolejny szczebel drabiny. Wreszcie gdy podciągam się trochę do góry nogi łapię jakieś oparcie. Powoli pnę się wyżej i wyżej. Stawiam nogę na szczelbu, potem drugą. Przywieram całym ciałem do drabiny i trwam tak dłuższą chwilę. Muszę ochłonąć. Pewnie nikt nie byłby w stanie oderwać mnie teraz od tego kawałka metalu. Gdy dochodzę do siebie słyszę jakiś głos nade mną. To, okazało się, przyszedł zaniepokojony naszą długą nieobecnością prowadzący pierwszą grupę. Widząc tylko mnie pyta co się stało. Gdy mu przedstawiam sytuację widać jak jego twarz się zmienia. Teraz on doznaje szoku. Stoi jak wryty. Ja tymczasem pokonuję drabinę i docieram do niego. Wreszcie teren nieco się wypłaszacza i mogę zdjąć plecak.



Gdy obaj ochłonęliśmy wyjmuję wszystko co może nas postawić na nogi. Zjadamy całe zapasy słodczy wierząc, że to przywróci nam spokój. Faktycznie po krótkim czasie jesteśmy spokojni. On schodzi niżej by zabrać porzucony plecak. Ja nagrywam telefonem jak podfruwa helikopter. Mam nadzieję, że coś wypatrzę. Widzę jak po kolei są wciągani na pokład ratownicy. W końcu widzę jak na linie sunie do góry ratownik trzymający nosze, na których leży czarny worek. Dopiero teraz dociera do mnie, że to już koniec. Obaj nie wiemy co robić, jak się zachować.

Umawiamy się, że na razie nie powiemy o śmierci naszej koleżanki, powiemy tylko że zabrał ją helikopter.

Po chwili z przełęczy schodzą następni uczestnicy wyprawy. Podlatuje do nas helikopter, z którego wysiada ratownik sprawdzający czy z nami jest wszystko w porządku. Zaraz odlatuje. Podmuch jaki spowodował omal nas nie zepchnął ze ścieżki. Dostaliśmy kamieniami miotanymi przez siłę jego łopat. W sumie to teraz nie wiem które zadrapania i rany na moim ciele spowodowały te kamienie a których nabawiłem się miotając się na drabinie. Na szczęście dla mnie wszystko skończyło się niewielkimi ranami i podartym ubraniem. Co prawda gorzej było jeśli chodzi o psychikę. Byłem całkowicie rozbity. Nie mogłem rozmawiać z innymi bo zaraz w oczach stawały mi łzy. A przecież w tej chwili byłem jedynym, który widział całą tragedię.



Nie będę pisał co się teraz dzieje. Wiadomo każdy miał swoje zdanie. Trzeba było poczekać na oficjalny komunikat co dalej. Ale to dopiero rano. Teraz trzeba było pomyśleć o przygotowaniu noclegu. Na szczęście znajduje się tu betonowy domek z kilkoma pryzmami. Jesteśmy na wysokości 2768 metrów. Wszystko wyżej jest już białe i wraz z nadchodzącym wieczornym chłodem zaczyna błyszczeć tworzącym się na powierzchni śniegu lodem. Póki można nabieramy do menażek śnieg i topimy go by przygotować coś ciepłego. W końcu kładziemy się spać. Nie bardzo przychodzi mi sen. Raz, że jeszcze mam przed oczami ten straszny obraz, dwa, że co chwilę słyszę potężny zgrzyt, jakby coś ciężkiego szorowało o chropowatą ścianę. Nad

ranem owe dziwne odgłosy nasiliły się do tego stopnia, że o śnie nie było już mowy. Okazało się, że to były odgłosy spadających na sąsiednich ścianach lawin.

Muszę powiedzieć, że noc mimo iż była bardzo mroźna, nie sprawiła mi problemów. Okazało się, że śpiwór zabrany przeze mnie faktycznie pozwala spać na śniegu przy temperaturze bliskiej minus 30 stopni. Nie czuć w nim żadnego zimna.

Wreszcie nastaje rano. Słońce oświetla ściany przed nami. Widzimy nad sobą trzy schroniska, w tym to najnowsze, usadowione na zboczu tak, że aż trudno uwierzyć, że nie zleci. To właśnie do niego w dniu wczorajszym wciąż latały helikoptery z zaopatrzeniem.

Jest już oficjalna decyzja. Wyprawa zostaje przerwana i w związku z zaistniałą sytuacją proszą nas o zejście na dół. Tym razem nie ryzykujemy i schodzimy na dół z drugiej strony. Najpierw pokonujemy pole lodowe a później decydujemy się iść torami kolejki. Nie zważamy na żadne zakazy. Niech no tylko spróbują nas zawrócić. Na szczęście nikt nie reaguje. Jedyna niedogodność to spaliny pozostałe w tunelu po przejeździe kolejki. Myśleliśmy, że się udusimy.



Na dół schodzimy kilka godzin. Ze względu na nachylenie stoku obcieramy sobie palce w butach. Sama kolejka by tutaj podjechać ma ułożoną trzecią szynę jako zębatkę. Teraz tylko godzinka marszu i jesteśmy przy wyciągu, którym jedziemy na dół i już jesteśmy na kempingu. Musimy tylko poczekać aż francuska żandarmeria spisze odpowiedni protokół. Nie trwa to zbyt długo. Okazuje się, że ze względu na ilość podobnych wypadków są oni przygotowani na takie procedury. Wkrótce



dociera do nas nasz prowadzący informując o ustaleniach dokonanych przez odpowiednie służby. Ponieważ, jak już wspominałem, posiadaliśmy wszyscy stosowne ubezpieczenia, ubezpieczyciel zajął się wszystkimi sprawami finansowymi oraz transportem zwłok do kraju.

Niestety tym razem nasza wyprawa zakończyła się tragicznie. My nie osiągnęliśmy zaplanowanego celu. Zginęła nasza koleżanka. Tym razem wygrała góra. Tak to już jest. Nie zawsze człowiek jest górą. Pewnie niebawem zostaną przedstawione stosowne ustalenia co do przyczyn wypadku. Na razie wszyscy jesteśmy jeszcze w szoku.

Na koniec aby niepotrzebnie nie wchodzić w dyskusje powiem tak: Góry to inny świat. To świat marzeń. Tych spełnionych i tych niespełnionych. Góry to świat radości ale i świat cierpienia i łez. Góry nie są dla wszystkich, to fakt. Niemniej góry to marzenia, to świat do którego Ignie wielu. Jednak ten świat trzeba rozumieć, trzeba go traktować z należyтым szacunkiem i powagą. Góry, jeśli czujesz przed nimi odpowiedni respekt, pozwolą ci bezpiecznie wrócić do domu. Musisz tylko bardzo tego chcieć.

**Wydawca:**  
**Komisja Krajoznawcza Oddziału PTTK "Sudety Zachodnie"**  
**Jelenia Góra – czerwiec 2018**  
**Tekst i foto: Krzysztof Tęcza**